

## ZANIM WYBUCHŁA WOJNA cz. II

Raz przyjechał do Mandzina dziadunio Aleksander (ojciec matki) i Teodor (brat matki), mój ojciec chrzestny. Otrzymałem od niego najwspanialszy prezent mojego życia – sliczną wiatrówkę. Strzelałem z niej małymi ołowianymi kulkami i strzałkami do tarczy. Później zabrała mi ją matka (bo strzelałem do wszystkiego) i ktoś ją ukradł podczas przeprowadzki do Grodna. Dziadek, podczas swojej bytności, kazał wybudować nowy, ceglany szalet wolno stojący za domem i inwestycja została szybko zrealizowana (stary zburzono).

Ciekawe były wizyty gen. Trusowa, właściciela majątku Kopicówka. Był to starszy, dystyngowany pan, o wytwornych manierach, były carski generał. Uszedł z życiem przed bolszewikami i opowiadał ciekawe historie. Przyjeżdżał w towarzystwie przyjaciela o niemieckim nazwisku (którego nie pamiętam). Jedli z nami obiad, pili herbatę z samowara i prowadzili z rodzicami długie rozmowy. Nocowali nad rzeką w namiocie, nie polowali, pływali i chyba łowili ryby. Na polowania na dzikie kaczki przyjeżdżał natomiast głównie p. Witold Kozłowski z Żytorodzi. Przywoził ze sobą psa myśliwskiego i zawsze zabierał mnie ze sobą. Kaczek było w bród. Strzelał celnie,

pies aportował ptaki i wracaliśmy z licznym łupem. Odwiedzali nas także krewni Wilczyńscy, ciocia Zosia z Gdyni (żona brata matki – Dionizego) i inni krewni, znajomi lub sąsiedzi.

Czasami przyjeżdżał do nas ktoś automobilem, który w ówczesnych czasach wzbudzał powszechną sensację. Auto było rzadkością na głuchej prowincji (a taką był Mandzin).

Najciekawszy był okres po żniwach. Gdy już uprzątnięto z pola zboże, pojawiała się u nas wojsko na coroczne manewry. Teren rzadko zaludniony nadawał się do gier wojennych. Była to głównie kawaleria (strzelcy konni lub ułani). Piękne wierzchowce stały rzędem uwiązane wzdłuż ogrodzenia, żołnierze wypoczywali w stodole lub szopie na sianie, oficerowie gościli w naszym domu. Pamiętam jak przy stole nad rozłożoną mapą sztabową siedział młody oficer, który wziął mnie na kolana i pokazał nasze zabudowania. Na środku majdanu widniał zaznaczony punkt. „A to co?” – zapytał wskazując punkt i odpowiedział zaraz: „A to Wituś właśnie”. Czasem przeciągały przez Mandzin kolumny zmęczonych piechurów, którym towarzyszyły CKM-y na wózkach, w zaprzęgach konnych. W górach Mogiłańskich



*Tadeusz Ursyn Niemcewicz (1901-1939), syn Marcelego – ojciec*



*Eugenia z Szymulskich Ursyn Niemcewicz (1898-1985) – matka*

odbywało się ostre strzelanie artyleryjskie.

Ojciec posiadał broń myśliwską (dubeltówkę) i wojskowy karabin typu Mauser, z którym powrócił z wojny w 1920 r, ale nie był myśliwym. Całkowicie poświęcił się gospodarowaniu. Oddany był duszą i ciałem ziemi, którą uprawiał.

W grudniu 1934 roku wyjechałem z rodzicami w daleki wówczas dla mnie świat. Siostra matki, Natalia, i jej drugi mąż, Jerzy Mietke, zaprosili nas do siebie na Święta Bożego Narodzenia do Warszawy. To była dla mnie bardzo pouczająca wyprawa. Najpierw sankami do szosy, potem autobusem do Grodna, następnie koleją do Warszawy. Stolica zrobiła oszołamiające wrażenie.

W porównaniu do znanego mi już powiatowego miasta Grodna, ruch w Warszawie wydawał się olbrzymi. Tłumy ludzi i masa przeróżnych pojazdów, morze światła, feerie barwnych neonowych reklam, wspaniałe witryny, no i przedświąteczna dekoracja miasta ukazały mi całkiem inny świat, zupełnie różny od tego który dotychczas znałem. Wujostwo żyło dostatnio (wuj doskonale zarabiał w zagranicznej firmie). Mieli piękne obszerne mieszkanie i mieszkali z nimi tylko Rysio – urodzony w Ameryce syn ciotki z pierwszego małżeństwa. Miałem więc towarzysza zabaw i psot. Ze zwiedzania Warszawy utkwił mi najbardziej w pamięci Dom Braci Jabłkow-

skich. Był to wspaniały, bogato wyposażony dom towarowy. Najbardziej mnie zainteresowała urządzona w nim inscenizacja baśni „Śpiąca królewna”.

Święta zapowiadały się wspaniale. W domu wujostwa stała bogato przystrojona, duża choinka. W wieczór wigilijny, kiedy to bawiłem się grzecznie z Rysiem, podszedł do nas wuj, wziął za rękę i wyprowadził do drugiego pokoju i kazał w nim pozostać. Natychmiast z Rysiem obraziliśmy się sądząc, że była to kara za nie popelnione winy. Tymczasem dorośli chcieli nam zrobić niespodziankę i umieścić podczas naszej nieobecności prezenty pod choinką. Po chwili przyszedł wuj i ponownie zabrał nas do pokoju, gdzie stała choinka, a pod nią liczne tym razem pudełka z upominkami. Dorośli zachęcali nas do rozpakowywania pudełek, my jednak nadal czuliśmy się obrażeni i nie chcieliśmy na nie nawet patrzeć. Teraz z kolei dorośłym było przykro. Ale wszystko skończyło się dobrze. Pamiętam jak spacerowaliśmy Alejami, które pokryte były wówczas puchem świeżego śniegu. To tyle wspomnień z Warszawy.

Edukację w szkole rozpocząłem po skończeniu 6 lat, w 1933 roku. Nie wiem dlaczego rodzice posłali mnie początkowo do najbliższej szkoły wiejskiej w Jarmoliczach. Chodziłem do niej codziennie pie-

szko (w obie strony 6 km) wraz z dziećmi z czworaków. Było wesoło, bo przyjaźniłem się z dziećmi naszych pracowników. Był to tylko krótki epizod w moim życiu, bo w tamtej szkółce wiejskiej z jednym nauczycielem i jedną izbą szkolną nie miałem co robić. Miałem już opanowany kurs nauczania początkowego dzięki p. Jodkowskiej. Chyba tylko 2 tygodnie byłem w 1 klasie. Ojciec załatwił mi w Grodnie stancję u swego znajomego kpt. Romiszewskiego i zamieszkałem u niego na ul. Listowskiego 5 (obok więzienia). W roku szkolnym 1934/35 byłem już uczniem 2 klasy Szkoły Ćwiczeń przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim w Grodnie na ul. Mostowej (w popularnie zwanej „Ćwiczeniówce”). Kpt. Romiszewski mieszkał samotnie, wracał bardzo późno do domu i nie zajmował się mną wcale. Jego żona mieszkała oddzielnie i odwiedzała go tylko czasami córeczka Halinka, z którą się zaprzyjaźniłem. Opiekowała się mną trochę p. Maria – dochodząca okresowo gosposia kapitana. Rodzice zorientowali się, że to niewłaściwe dla mnie miejsce i załatwili mi inną stancję w rodzinie nauczycielskiej na ul. Jagiellońskiej. Tam otoczono mnie należytą opieką. Z pierwszego roku nauki w Grodnie zapamiętałem wyjazd z całą klasą na lotnisko w Karolinie na międzynarodowe zawody lotnicze. Przela-

tywał tam wtedy sławny już pilot kpt. Jerzy Bajan – zdobywca 1 miejsca na międzynarodowych zawodach lotniczych w Zurychu w 1932 roku. I tym razem zwyciężył w challeng'u w 1934 roku. Drugim pamiętnym wydarzeniem były uroczystości żałobne związane ze śmiercią marszałka Józefa Piłsudskiego w maju 1935 roku. Pozostały mi w pamięci słowa smutnych pieśni i wierszy: „Niebo nad Polską chmurzy się i mroczy...”.

W tym samym chyba 1935 roku byłem świadkiem pogromu Żydów, których było w Grodnie bardzo wielu. Powodem było zakłucie nożami polskiego marynarza podczas bójki przez dwóch młodych Żydów. Odbył się uroczysty pogrzeb z udziałem licznych mieszkańców miasta, którzy po wyjściu z cmentarza zaczęli bić napotkanych Żydów, tych którzy nie zdążyli się schronić. Wybijano wystawy żydowskich sklepów, wywracano stragany i kioski. Policja przywróciła szybko porządek. Ofiar śmiertelnych nie było. Zabójcy marynarza zostali osądzeni i osadzeni w więzieniu.

Rodzice załatwili mi dodatkowo w szkole lekcje języka francuskiego, ale ja nie przykładałem się do nauki i uczyłem się „tak sobie”. Nie rozumiałem wówczas jeszcze po-



*Witold Ursyn Niemcewicz – Grodno,  
1934 r*

trzeby nauki i ceny przemijającego czasu. Przechodziłem z klasy do klasy, nie „repetując” żadnej, z wynikami raczej miernymi. Moje zainteresowanie dotyczyło głównie lekcji rysunków i historii. Nie lubiłem matematyki, lekcji rytmiki i idiotycznych robótek ręcznych (dobrych dla dziewczynek). Co do rysunków, to miałem w tym kierunku uzdolnienia, podobnie jak ojciec, stryj Michał i dziadek Marceli. Pamiętam w naszym domu i dworku w Kniażewiczach olejne obrazy przedstawiające pory roku malowa-

ne przez dziadka. Miałem do zabawy dużo papierowych żołnierzyków przedstawiających rzymskich legionistów namalowanych wspaniale akwarelą przez stryja Michała. Ojciec lubił rysować konie. Ja w dzieciństwie i młodości rysowałem wszystko i dużo, potem zaniechałem tych zajęć.

Najbardziej przykrą chwilą w szkole było codzienne ustawianie nas w kolejce kiedy to każdy otrzymywał łyżkę stołową tranu, który musiał wypić, otrzymując na dodatek kawałek posolonego chleba. Ale były też i bardzo przyjemne chwile. Należały do nich wycieczki szkolne, bliskie i dalekie.

Grodno, bardzo stare i malowniczo położone miasto nad Niemnem miało sporo ciekawych zabytków. Pamiętam nadzwyczaj interesującą wycieczkę szkolną na starą górę zamkową, gdzie były właśnie prowadzone badania archeologiczne na kilku poziomach mające za zadanie wyjaśnić bliżej historię grodu. Archeolodzy udzielali nam bardzo ciekawych wyjaśnień. Przy okazji zwiedzaliśmy muzeum w zamku, gdzie widziałem eksponaty ofiarowane przez moich przodków. Kiedy indziej zwiedzaliśmy ogród zoologiczny i ogród botaniczny. Były też i wycieczki dalsze. Po Niemnie kursowały dwa parostaki: „Jadwiga” i „Jagiello”. Jednym z nich popłynęliśmy aż do Bohatyrowicz, gdzie odwiedziliśmy grób Jana i Cecylii

Bohatyrowiczów, uwiecznionych w powieści „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej, oraz grób Powstańców z 1863 roku. Oczywiście to wszystko odbywało się z odpowiednią prelekcją historyczną i było wspaniałą lekcją w plenerze. Inną ciekawą wycieczką była wyprawa koleją do znanego uzdrowiska w Druskiennikach, położonego nad Niemnem, na ówczesnej granicy polsko-litewskiej. Przebywał tam często w poprzednich latach Marszałek Józef Piłsudski i miał swoją ławeczkę, z której roztaczał się widok na Niemen i położoną za nim Litwę. Widzieliśmy ławeczkę i siedziałem na niej. Zwiedziliśmy uzdrowisko słynne z borowin i wód mineralnych. Jeszcze bardziej atrakcyjna była wycieczka do Suwałk i Augustowa. Pływaliśmy barką motorową po jeziorze Wigry, potem czynnym wówczas kanałem augustowskim (systemem śluz) łączącym Biebrzę z Niemnem.

Ponownie rodzice zmienili mi stancję. Zamieszkałem u pp. Bronickich na ulicy Podolnej koło wiaduktu kolejowego (stancję zmieniano mi chyba co rok). Potem matka wynajęła mieszkanie na ulicy Orlicz-Dreszera (dawnej Pocztowej) u pp. Jodkowskich i przeniosła się tam z Mandzina, którego już miała serdecznie dosyć. W tym czasie przeszedłem już chyba do 5 klasy. Zamieszkałem w końcu wraz z matką i siostrą, która rozpoczęła

uczęszczać do przedszkola. Ojciec dojeżdżał do nas autobusem co jakiś czas. Wychodziłem mu na spotkanie na Plac Batorego, gdzie autobusy zaczynały i kończyły swoje trasy. Brałem od ojca małą walizkę (pomagałem nieść) i otrzymywałem drobne na kino. To były przyjemne chwile. Chodziliśmy nieraz całą rodziną do restauracyjki z ogródkiem na obiad. Ojciec nigdy nie smarował masłem pieczywa, a spożywał je oddzielnie, kawałkami. Oczywiście były lody na deser. Tak przyjemnych wspomnień mam jednak bardzo niewiele.

Należałem wówczas do zuchów (organizacji poprzedzającej harcerstwo). Brałem udział w zbiórkach, grach i zabawach, ogniskach, podchodach w Pyszkach i w defiladach z okazji świąt państwowych. Już w tej dziecięcej organizacji wpajano wartościowe cechy, jak zostać dobrym obywatelem.

Co niedziela rano odbywały się zbiórki przed szkołą i całą klasą udawaliśmy się do kościoła farnego (pojezuickiego) na Plac Batorego. Tam też przystąpiłem do Pierwszej Komunii Świętej, po której odbyło się uroczyste przyjęcie z udziałem rodziców oraz wykonanie pamiątkowych fotografii. W domu nie było uroczystości (jak to ma miejsce teraz), ale otrzymałem kilka drobnych prezentów. Pamiętam, że była to książka „Serce” De Amicis Edmonda, komplet posrebrzanych

sztućców i obraz św. Teresy w pięknej ramie.

Rodzice dbali o moją edukację i posyłali dodatkowo na lekcje gry na fortepianie oraz lekcje języka niemieckiego do stryjenki Jadwigi Ursyn Niemcewiczowej, przemiłej starszej pani. Ale mnie nauka nie była w głowie. Ćwiczenia „palcówek” (gam) na fortepianie były bardzo nudne i nużące, język niemiecki też mnie nie pociągał. Interesowało mnie wówczas tylko kino i koledzy, którzy nie wpływali na mnie dodatnio.

Wakacje letnie i zimowe spędzałem w Mandzinie. Miałem tu sporo rozrywek. Najpierw witał mnie zawsze mój przyjaciel – As. Był to duży pies, mieszaniec „wilczur”. Właziłem do jego budy z czego As nie był zadowolony i wypraszał mnie warknięciem. Rozumieliśmy się doskonale. Z dziećmi naszych pracowników urządzaliśmy różne zabawy. Były kąpiele w Świsłoczy, zimą sanki itd. Ferie letnie 1937/38 spędziłem w towarzystwie mego szkolnego kolegi – Mirka Dąbrowskiego, którego zaprosili moi rodzice. Był wątłym chłopcem, synem legionisty chorego na gruźlicę, matka jego była pielęgniarką w szpitalu wojskowym (w Nowym Zamku). Mógł się u nas dobrze odżywić i nabrać sił.

Ojca irytowało to, że miejscowi Białorusini przekręcają stale nazwę Mandzin i zamiast niej używają na-

zwy Znajdzino. Załatwił więc urzędowo zmianę nazwy „Mandzin” na „Ursynów”. Miał pieczętkę o następującej treści:

Tadeusz Ursyn Niemcewicz  
maj. URSYNÓW  
poczta Indura  
powiat Grodzieński

Ale nowa nazwa nie przyjęła się i nadal mówiono „Znajdzino” (w dokumentach był Mandzin lub Ursynów).

Przyjeżdżając na ferie co kilka miesięcy z Grodna do Mandzina obserwowałem wyraźny postęp w gospodarstwie. Minał okres Kryzysu Światowego i od 1935 roku gospodarka całego kraju ulegała stopniowej poprawie. Ojciec dokładał wszystkich sił, aby „odbić się od dna”. Należał do Kasy Stefczyka. Prenumerował czasopismo „Plon” i inne fachowe wydawnictwa rolnicze. Doksztalał się i starał się iść z postępem. Pomagał mu w tym dzielnie p. Mikołaj Sohan, który objął stanowisko rządcy po p. Hlebowiczu. Był samotnym, światłym człowiekiem, z wykształcenia sadownikiem-ogrodnikiem, rozmiłowanym w swojej pracy. Zamieszkał z nami i wiele mu zawdzięczaliśmy. Założył inspekty, szklarnię, nowe sady owocowe, ogrody, nowe odmiany warzyw, pasiekę itd. Powiększyło się znacznie stado krów. Codziennie odwożono mleko z udoju do zlewni. Wojsko kupowało od nas koniczynę. Do-

skonale udawały się uprawy buraków, ziemniaków i zbóż (głównie pszenicy). Ojciec kupował stopniowo nowe, unowocześnione maszyny rolnicze, ale ziemię uprawiano nadal końmi. Każdy, najdrobniejszy nawet, sukces sprawiał radość.

W szkole nie należałem do najsilniejszych i najbardziej wysportowanych w klasie. Byłem „przeciwnikiem”. Silniejsi koledzy tłukli mnie czasem i wyzywali od „szwabów” z racji mego nazwiska sugerującego, że mam związek z Niemcami. Zaprzyjaźniłem się z Heńkiem Kucharskim, najsilniejszym w naszej klasie, wtedy dano mi spokój. Teraz ja odgrywałem się na innych. Podczas jednej z zabaw-bijatyk uszkodziłem nieco kręgosłup pocziwego Szymka Saposzyńskiego – jedyne Żyda w naszej klasie. Jego zamożny ojciec zgłaszał słuszne pretensje. W miarę dorastania stawałem się coraz większym łobuzem. Utkwiło mi w pamięci jeszcze trochę nazwisk kolegów z klasy. Oto one: Leszek Łapiński, Zenek Guzowski, Mirek Dąbrowski, Zbyszek Klein, Sławek Korulski, Heniek Kucharski, Zdziśiek Domicz, Szymek Saposzyński, dwaj bracia Laseccy, Panczakiewicz, Baron, Zając, Narbutt i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Poza kolegami szkolnymi miałem jeszcze koleżków z ulicy, którzy nauczyli mnie kraść i innych niecnych sztuczek. Zacząłem podkra-

dać matce drobne pieniądze i wynosić z domu drobne rzeczy na sprzedaż. Potrzebowałem na kino, lody, ciastka itd. Zaniedbywałem się w nauce, zacząłem wagarować i symulować choroby, aby nie iść do szkoły (przychodził wówczas do mnie lekarz – Żyd dr Braun, dobry człowiek i lekarz). To nie mogło dobrze się skończyć. Rodzice zorientowawszy się w sytuacji postanowili przenieść mnie do innego środowiska. Skończyłem 5 klasę w Grodnie i po letnich wakacjach 1938 roku matka zawiozła mnie do Różanogostoku. Ta niewielka miejscowość, leżąca na zachód od Grodna i na północ od Sokółki, miała długą, ciekawą i burzliwą historię. Początkowo zwała się Krzywostok i stała się nowym ośrodkiem kultu N.M.P w związku z cudownym obrazem. Tyszkiewiczowie w połowie XVII wieku byli fundatorami kościoła i klasztoru Dominikanów różanostockich. Dwusetna działalność Dominikanów z sanktuarium różanostockim została zakończona w 1866 roku. W wyniku popowstaniowych represji i rusyfikacji, kościół wraz z przyległymi zabudowaniami klasztornymi i ziemią przekazano duchowieństwu prawosławnemu. W 1901 roku klasztor i kościół przejmują mniszki ze swą ihumeną Heleną, krewną cara Mikołaja II. Następuje remont i rozbudowa. Wybudowano szereg nowych bu-

dynków i rozpoczęto przebudowę kościoła na cerkiew. Po I Wojnie Światowej klasztor i kościół przejmują Salezianie, którzy zaczynają rozwijać tu szkolnictwo, początkowo powszechne i zawodowe, potem ogólnokształcące. W rezultacie powstaje wzorowy Zakład Wychowawczy posiadający gimnazjum i liceum z wysokokwalifikowaną kadrą nauczycielską, szkołę powszechną przekazano siostrze Salezjanek, które też osiadły w Różanymstoku. Salezianie byli wyspecjalizowani w wychowywaniu chłopców i trafiała do nich przeważnie tak zwana „trudna młodzież” z całego kraju (często z zamkniętych domów). Tak więc zostałem przyjęty do Zakładu otoczonego murami i otrzymałem numer 158 (niczym więzień zakładu karnego). Rodzice wyposażyli mnie w całą wyprawę (wszystko ostemplowane było numerem 158) i pamiętam, że ojciec płacił za mnie 60 złotych miesięcznie. Ale nie było tak źle, jak początkowo sądziłem. Zakład posiadał obiekty sportowe, kino, bibliotekę, czytelnię, salę widowiskową, kaplicę i dobre warunki zakwaterowania. Dysponował własnym zapleczem gospodarczym, zapewniającym samowystarczalność. Posiłki spożywalimy w refeitaryum razem z oo. Salezjanami. Grali z nami w piłkę nożną, siatkówkę i inne gry sportowe, razem chodziliśmy na wycieczki i organi-



zowaliśmy różne imprezy. Byli oczywiście doskonałymi wychowawcami. Szczególną opiekę rozłożył nade mną o. Karol Pilecki (zakonnik świecki). Był mądrym i dobrym człowiekiem. Zastępował mi ojca i nigdy go nie zapomnę. Poziom nauczania był wysoki w gimnazjum i liceum, ale mnie, niestety, przyjęto do 6 klasy szkoły powszechnej, która znajdowała się tuż za murami Zakładu. Była to 7-klasowa prywatna szkoła powszechna Sióstr Salezjanek, o przeciętnym poziomie nauczania. Kadra nauczycielska nie pozostawiła mi żadnych wspomnień, szkoła też. Najlepsze oceny miałem oczywiście z rysunków. Wszystkie wspomnienia wiążą się z Zakładem. Zostałem członkiem chóru. Śpiewaliśmy różne piękne pieśni, nawet po hiszpańsku (niektóre do dziś pamiętam) na różnych okolicznościowych uroczystościach, recytowałem wiersze i przyuczałem się do roli ministranta (codziennie rano mieliśmy mszę św. w kaplicy). Zawarłem nowe przyjaźnie i czułem się coraz lepiej w Różanymstoku. Przyjeżdżali do nas na występy artyści scen polskich i dawali ucztę duchową. W ciągu całego roku szkolnego 1938/39 tylko raz zostałem ukarany. Otrzymałem „po łapach” kilka uderzeń pałką gumową (aż mi trochę spuchły) za samowolne opuszczenie Zakładu. W pobliskiej wsi wybuchł pożar. Wraz z kolegą prze-

skoczyłem mur i pobiegliśmy zobaczyć wszystko z bliska.

Wiosną 1939 roku przyjechał do naszej szkoły podoficer i prowadził z nami zajęcia wojskowe (sztukę celowania z broni, trójkąt błędów itd.) w Zakładzie starsza młodzież też miała zajęcia z przysposobienia wojskowego (już z bronią, w drelichowych mundurach, zajęcia w terenie). Coraz częściej mówiło się o groźbie agresji niemieckiej i możliwości wybuchu wojny, ale duch bojowy wśród młodzieży był wspaniały.

W czerwcu skończyłem z niezłymi ocenami 6 klasę powszechną i zdałem wstępny egzamin przed komisją Zakładu do gimnazjum. Tak więc od 1 września 1939 roku miałem rozpocząć naukę już jako gimnazjalista. Bardzo się z tego powodu cieszyłem. Wyjechałem na wakacje do Mandzina nie przeczuwając, że to już koniec mojej, zaledwie rocznej, edukacji w Różanymstoku. Cała moja wyprawa (z numerem 158) pozostała tam, ale już nie doczekała się mojego powrotu.

Lato spędziłem z rodzicami i siostrą na wsi. Jak zwykle bawiłem się bez troski z rówieśnikami, a siostra często żaliła się płaczącym głosem: „Mamusiu, polska mucha mnie ugryzła”. Chodziło tu oczywiście o „końską muchę”, która rzeczywiście kąsała boleśnie. W przeciwieństwie do mnie, rodzice byli coraz poważniejsi i zatro-

skani napływającymi niepokojącymi wieściami. Radio i prasa głosiły propagandowe hasła: „Silni, zwarci, gotowi” lub „Nie oddamy ani jednego guzika”, ale trzeźwo myślący ludzie zdawali sobie sprawę z grozy sytuacji. Niemcy mogli nas zaatakować jednocześnie z północy, z zachodu i z południa. Cała nadzieja spoczywała w naszych potężnych zachodnich sojusznikach, no i w walecznej armii. Pomimo tego, że byliśmy głęboką prowincją, i do nas dotarły zarządzenia świadczące o przygotowaniach do wojny. Zabrano kilka koni (uprzednio zarejestrowanych dla potrzeb wojska) i wozów z wyposażeniem do taborów. Wyznaczono miejscowość, do której należy pędzić bydło w razie wybuchu wojny. Pod koniec sierpnia przeprowadzano cichą, częściową mobilizację rezerwistów. Ojciec, jako podoficer rezerwy, dostał powołanie do Ośrodka Zapasowego 29 dywizji piechoty w Grodnie (dopiero wiele lat później dowiedziałem się, że nasi sojusznicy zachodni nie pozwolili Polsce przeprowadzić pełnej mobilizacji, aby nie drażnić Hitlera). Mając jeszcze rozum dziecka nie przejmowałem się niczym i nie martwiłem. Radowałem się nawet, że jak wybuchnie wojna, to na pewno przedłużą się wakacje i nie trzeba będzie się uczyć. Zresztą na pewno szybko pobijemy Niemców – tak sądziłem.

Pisane w Dobrzyniu n. Drwęcą w lipcu 2000 roku.

Miałem dopiero 12 lat i moje dzieciństwo przerwał i zakończył wybuch wojny.

\*\*\*

Już po napisaniu powyższego nasunęły mi się wspomnienia, które pragnę dopisać. Wymieniłem nazwiska kolegów szkolnych z Grodna, a pominąłem z Różanegostoku. Oto one: Prokuratorski, Micewski, Gawiński i Arciuch. To byli moi przyjaciele.

Co roku na początku żniw w Mandzinie ojciec zabierał mnie w pole. Tam żniwiarze przewiązywali nas słomianymi powrośkami i składali życzenia. Ojciec musiał się wykupić srebrną monetą (taki był zwyczaj).

Często pracownicy nazywali mnie „paniczem”, ale nie imponowało mi to wcale. Bawiłem się i przyjaźniłem z dziećmi z czworaków i nie obchodził mnie ich status. Taki byłem wówczas i później.

Niezmiernie żałuję, że rozpocząłem pisanie wspomnień w 74 roku życia, kiedy to najbliżsi odeszli i nie mogę nikogo o nic spytać. Matka była skarbnicą wiedzy o przeszłości, ale zgasła w 1985 r, a mnie wówczas nie w głowie było pisanie memuarów. Wprawdzie dawniej prowadziłem notatki z podróży i różnych wydarzeń, ale wszystko zniszczyłem po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r.